

Legendy i podania od źródeł Wisły

Opracowanie tekstów:

Monika Śliwka, Renata Czyż

Podstawowe wersje legend i podań pochodzą z dzieł:

Bogumił Hoff, *Lud cieszyński, jego właściwości i siedziby. Obraz etnograficzny, seria I. Górale Beskidów Zachodnich, tom I. Początki Wisły i Wiślanie*, Warszawa 1888 [reprint 1987];

Bogumił Hoff, *Imko Wisielka*, Wisła 2013;

Maria Pilch, *Wisła naszych przodków*, Wisła 1979.

Ilustracje i okładka:

Justyna Dłużniewska

Konsultacja językowa tekstów:

Alicja Pieszka

Wydawca:

Interfon sp. z o.o.

ul. Olszaka 5, 43-400 Cieszyń, tel. 33 851 05 43

drukarnia-interfon@home.pl

www.drukarnia-interfon.pl



MIEJSKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
im. Jana Śniegonia w Wiśle

Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Śniegonia w Wiśle

pl. B. Hoffa 3, 43-460 Wisła, tel. 33 855 26 91

www.biblioteka.wisla.pl

biblioteka@wisla.pl

Wydawnictwo dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury
w ramach programu „Kultura – Interwencje 2017”



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY

ISBN 978-83-65298-20-1

Początki rzeki Wisły czyli o Czarnosze i Białce

Był sobie Karpat. Potężny władca, który miał czterech synów: Tatra, Pienia, Beskida i Suda. Po śmierci ojca, synowie podzielili państwo pomiędzy siebie tak, że Beskidowi dostała się kraina leżąca na zachodzie. Beskid miał żonę Boranę, pod opieką której były bory, lasy i przebywające w nich zwierzęta. Gdy Beskid umarł, Borana osiadła na najwyższej górze, wychowała dwie swoje cudownej urody córki, Czarnochę i Białkę oraz syna Lana. Wkrótce potem oddała córkom opiekę nad wodami i rybami, a synowi nad łąkami i polami. Kiedy już czuła, że śmierć nadchodzi przytuliła do piersi swe dzieci, a żegnając się z nimi, dała córkom polecenie rozprowadzenia wody po ziemi, a synowi zakładania łąk i pól; wszystko na użytek ludziom. Skoro matka zamknęła już oczy na zawsze, dzieci pochowały ją na tej górze, gdzie dotąd tak szczęśliwie przeżyły swoją młodość.



Wypełniając polecenia matki, rodzeństwo rozeszło się, każde w inną stronę. Lan wszyskie miejsca, jakie tylko matka nie pozasiewała lasem, użyźniał, tworząc z nich łąki z bujną trawą i pola z urodzajnym zbożem. Córki zaś rozprowadzały wodę. Czarnocha, która była czarnooka i miała czarne włosy, po pożegnaniu się z siostrą, płakała chwilę, nim wyruszyła w dalszą drogę. Wybrała sobie łagodną pochyłość góry kierując się na południe i zwolna zeszła do doliny pogrążona w smutku. Białka zaś z jasnymi włosami i błękitnymi oczyma, wkrótce zapomniała o zmartwieniu, żywo podążyła na północ. Swawolna, nie zważając na skały i przepaście, zeskakiwała w dół śpiewając sobie wesoło. Białka niebawem znalazła się w dolinie i ku swej radości ujrzała przed sobą Czarnochę. Siostry witały się serdecznie i postanowiły już nie rozłączać się nigdy. I tak wesoło, między wysokimi górami schodziły coraz to niżej dolinami, gdzie brat ich Lan już pozakładał łąki i pola.



Lecz niedaleko zaszły. Widział je Czantor – kamienny rycerz, pokochał i nie chciał puścić dalej. Namawiał też braci swoich, by zastąpili im drogę, zamykając dolinę górami. Siostry pozostały zatem w górach, a ponieważ były władczyniami wód, więc i wody zatrzymując się z nimi, zalały całą okolicę. Obie czuły się tu bardzo szczęśliwe i nie miały zamiaru opuścić Czantora, który otoczył je najtroskliwszą opieką, zasłaniając od zimnych wiatrów i gorących promieni słońca. W zamian siostry odwdzięczały mu się użyźniając stoki gór tak, że pokryły się niebawem najpiękniejszymi lasami, trawami i kwiatami. Co wieczór i rano wygładzały powierzchnię wody tak, że góry mogły się przejrzeć w nich, jak w zwierciadle. Lecz długo nie trwało takie szczęście.

Matka Ziemia kazała rozstąpić się górcom i wypuścić wody. Czantor musiał być posłusznym, lecz nie chciał

dziewcząt wypuścić w nieznane strony. Wysłał zatem tylko jedną falę na zwiady i wyszukanie drogi. Siostry zrywały z brzegów kwiaty, uplotły wieniec i ozdobiwszy tę wysłaną falę, żegnały ją serdecznie. Ta pierwsza wysłana fala, zwana *wyszła* czy *Wisła*, wypłynąwszy z gór ulubionych, znalazła się niebawem na równinie i z tęsknoty już chciała wrócić do sióstr, gdy ujrzała z daleka góry i chociaż były one mniejsze podążyła ku nim. Były to góry Krakusa, które przyjęły tę falę z radością i podawały ją dalej siostrom. Wysłana fala wszędzie przyjmowana była z radością, bo w ślad za nią podążał Lan, zasiewając trawę i zboża. Fala ta przebiegła kraje obszerne, trzymając się zawsze bliskości gór i opuściwszy gród Krakusa, podążyła do innych krain: sandomierskiej, puławskiej, warszawskiej, modlińskiej, płockiej, włocławskiej, toruńskiej i za chełmską pobiegła do morza. Za tą falą wysłaną czyli Wisłą, wysłały i wysy-

łają siostry ciągle inne fale i wszystkie one płyną tą samą drogą, wskazaną przez pierwszą. A stało się to wtedy, gdy słońce wzeszło wysoko i najbujniej zakwitły kwiaty. Na pamiątkę tego zdarzenia odtąd dziewczęta, wzdłuż całego biegu rzeki Wisły obchodzą Wianki w wigilię dnia Świętego Jana, puszczając po wodzie wieńce z kwiatów.

Doliny zaś w dawnym państwie Beskida użyźniał Lan łąkami i polami, a Matka Ziemia oddała je ludowi góralskiemu. Odtąd wodę płynącą w tej dolinie nazywa się Wisłą, strumień, którym zeszła Czarnocha – Czarną Wisiełką, a strumień Białki – Białą Wisiełką. Góra zaś, gdzie przebywała Borana, nosi nazwę Baraniej Góry, a dawniejsza siedziba Czantora to Czantoria. Lud zamieszkały między tymi górami zwą góralami, a lud w dalszych krainach Lanami czyli Lachami...

Imko Wisetka

W czasach, kiedy Wisłę porastała nieprzebyta puszcza, a w lasach grasowała dzika zwierzyna i groźni zbójcy, wydarzyło się coś, o czym pamiętają tylko najstarsze drzewa. Na małą, zasłoniętą cieniem świerków polanę, pewnego dnia przybyli dwaj rycerze. Byli to wysłannicy samego księcia Mieczysława – możnego władcy, który panował na zamku w Cieszynie. Tam, gdzie pagórki porastała bujna roślinność, a jedynymi odgłosami były radosny śpiew ptaków i szum wzburzonej rzeki, zostawili oni więźnia o imieniu Imko.

Skazaniec został pojmany i wygnany z Cieszyna za obrazę i bójkę z jednym z rycerzy. Księżę niewielu skazywał na tak ciężkie odosobnienie, wiedział bowiem, że nikt nigdy nie wrócił żywy z wiślańskiej dziczy. Tym razem jednak na jego rozkaz Imko został wygnany, a wcześniej oznakowany tak, aby nie odważył się ni-



gdy powrócić do Cieszyna. Przez pomyłkę zamiast litery „M” na czole wypalono mu znak „W”, a że dolina, w której zostawili go posłańcy, była doliną rzeki Wisły, Imko nazwał się Wisetką. Całym jego dobytkiem był worek wypełniony zbożem, chlebem i bryndzą oraz narzędzia, które mu pozostawiono. Jeden z rycerzy wykrzyknął na pożegnanie: „Bóg z Wami Panie Imko” i z litości dał mu swój łuk i strzały. Przeczuwał, że bez broni, nie przetrwa nawet do rana.

Imko samotny i ogarnięty rozpaczą, usiadł nad wezbraną rzeką. Niepewny jutra, już miał skoczyć w rwący nurt, kiedy z oddali usłyszał szczekanie. – „Mój złoty Bambusiu! Ty przybiegłeś za mną z zamku, kiedy wszyscy mnie opuścili”. To radosne spotkanie z wiernym, czarnym pudlem pozwoliło mu odzyskać wiarę we własne siły. Imko Wisetka ruszył przed siebie i prze-

mierzał las w poszukiwaniu miejsca na schronienie. Zmęczony daleką drogą i gorącym powietrzem, zabrał psa pod pazuchę i tak razem przeszli przez Wisłę zażywając rześkiej kąpieli. Ich oczom ukazała się piękna zielona polana, na której Imko wybudował szałas, a było to w Łęgu, niedaleko doliny Jawornika. Wygnaniec ustrzelił z łuku gołębia i podzieliwszy się wieczszą z psem, szczęśliwie zasnął.

Pierwszy dzień niewoli był pracowity, bo Imko umacniał ściany szałasów. Bambo, po tym jak zaatakował w nocy dzika, leżał ranny. Na szczęście Imko na czas wyratował go z opresji. Jedynym pożytkiem z tej przygody była skóra z dzika i spory zapas mięsa, które Imko uwędził i ukrył w cieniu nad strumieniem. Parę dni później okazało się, że w okolicy grasują złodzieje, bowiem schowane przez Imka jedzenie zniknęło po

trochu w niewyjaśnionych okolicznościach. Musiało minąć wiele tygodni zanim właściciel zapasów znalazł winowajcę, którym okazała się wychudzona wilczyca.

Pies dzielnie towarzyszył wygnańcowi, a to schwytał zająca, a to wyłowił kość wołu z rzeki. Imko korzystał z dobrodziejstw lasów zbierając grzyby i jagody. Miał czym się żywić, bo czyste wody Wisły obfitowały w pstrągi i łososie. Razem z psem przemierzał wiślańskie góry i doliny. Pewnego razu dotarł do Gościejowa, gdzie był świadkiem niebezpiecznego starcia. Najpierw dostrzegł dorodnego jelenia i już naciągał cięciwę łuku, gdy spostrzegł, że jego pies cicho wycofuje się w zarośla. Szybko zrezygnował z polowania i schował za okazałym bukiem. Nagle jelenia zaatakował wilk i na polanie odbył się groźny pojedynek. Ani jeleni, ani wilk zajęci walką, nie dostrzegli ukrytych widzów.



Innym razem rzeka wyrzuciła na brzeg duże ciosane, drewniane koryto. Imko obawiał się, że gdzieś w górze rzeki mogą grasować zbójcy i tego dnia zasnął z postanowieniem, że przemierzy lasy wzdłuż i wszerz, póki nie dowie się, czy ktoś tu w pobliżu się nie osiedlił. Wreszcie dotarł do Czarnego, gdzie zmęczony zasnął nad strumieniem i nie usłyszał, jak zbliża się niedźwiedź. Ogromne zwierzę podeszło Imka tak, że nie było już gdzie umknąć. Ogarnięty trwogą wstrzymał oddech i udając martwego leżał nieruchomo na ziemi. Bambo, jakby wyczuł grozę chwili, postąpił jak jego pan, dzięki czemu obaj uszli z życiem. Znudzony niedźwiedź ułożył się w paprociach pod smrekiem i zasnął.

To zdarzenie sprawiło, że Imko stał się ostrożniejszy i gdy dotarł do Malinki, szedł przez las tak cicho, że pod jego stopami nie złamała się żadna sucha

gałązka. To co ujrzał wspinając się po stromym zboczu wprawilo go w prawdziwe osłupienie. Nie spodziewał się bowiem, że natknie się na zbójców znanych także w Cieszynie. Po kolei wyłaniali się oni z wąskiego otworu jaskini, ubrani w jakieś dziwne, jakby węgierskie stroje, zwinnie schodzili w dół, wtapiając się w otoczenie. Imko miał wrażenie, że to sen, ale u boku herszta bandy w promieniach słońca połyskiwał obosiecznymiecz. Imko odczekał chwilę i niepewnie zakradł się do jaskini. Jego oczom ukazała się niewielka grota, w której jeszcze dogorywało palenisko. Urządzone postłania i zapasy żywności świadczyły o tym, że to stała kryjówka. Zgromadzone złoto i kosztowności kusily bardzo wygnańca, ale po namyśle zabrał tylko nóż, krzesiwo, piłę, trochę naczyń i jedzenie. Niepostrzeżenie uciekł z jaskini i wrócił do swojego obozowiska, dziwiąc się własnej odwadze.

Zimne wiatry zerwały ostatnie liście, a wraz z nadejściem zimy dni stawały się coraz krótsze. Rzeka, teraz leniwie tocząca swe wody, wprawiała Imka w przygnębienie. Słońce, które paliło w lecie, szybko chowało się za lasami. Na nadejście zimy był jednak przygotowany. Zgromadzone zapasy i solidny szałas z małym okienkiem musiał wystarczyć. W końcu spadł śnieg. Pewnego mroźnego wieczora, a był to ostatni dzień roku, zdarzyło się, że wygłodniałe wilki podeszły za sarnami niebezpiecznie blisko szałas. Imko najpierw chciał je odstraszyć, ale wycofał się widząc całą watahę. Zauważył jednak małą sarenkę uwięzioną w śnieżnej zapie. Dobre serce górala nie pozwoliło mu pozostawić bezbronnej bez pomocy. Bez namysłu uchylił drzwi i wniósł sarenkę do środka, nadając jej od razu imię Burrek. Tak pozyskał nowego towarzysza swej niedoli.

Zima otuliła śniegiem góry i doliny na długie miesiące, ale w końcu nadeszły cieplejsze dni i zasypane wcześniej drzwi szałasów, teraz otwierały się bez najmniejszego oporu. Wiosenne mgły unosząc się nad dolinami wyglądały niczym płócienne, białe płachty. Imko zachwycał się widokami, gdy nagle spostrzegł w wezbranych falach rzeki białą, kobiecą koszulę. Zbiegł szybko do wody i wyłowiwszy zdobycz, postanowił szukać ludzi w górze rzeki. Zabrał ze sobą swych wiernych towarzyszy: Bamba i Burka, którzy radośnie wyznaczali mu drogę. Wilgotne i ciepłe powietrze sprawiło, że ostatnie podejście grzbietem od doliny Głębczańskiej było nie do pokonania i wszyscy odpoczęli przy wystającej skale. Nagle Imko usłyszał kobiecy śpiew. Nieznany głos przybierał na sile, kiedy wspinał się coraz wyżej i wyżej. Nie mógł uwierzyć, w to co

zobaczył. Na zboczu stała sporej wielkości zagroda, a na ławce śliczną dziewczę zaplatała swe włosy w warkocz. Nieśmiało podszedł do Jewki i po krótkiej rozmowie ich serca zabiły w jednym rytmie. Oboje poczuli, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Imko poznał brata i dziadka dziewczyny, a na pożegnanie podarował jej swoją oswojoną sarenkę i zwrócił odnalezioną koszulę.

Góralka była córką herszta zbójów i dziadek Jewki obawiał się wyrazić zgodę na ślub. Poza tym stwierdził, że zakochany musi najpierw wystawić porządną chałupę. Wygnaniec był zmuszony powrócić do swego obozowiska na Łęgu. Mijały dni i noce, a Imko w tęsknocie i smutku czekał na wieści z Głębiec. By przypomnieć o swej miłości do Jewki nazbierał w lesie malin, wsypał do koszyka i zamocował pudlowi na szyi, nakazując dostarczyć wybrance słodki podarek. Słońce



nie zaszło jeszcze za górami, a pies był już z powrotem. Z koszyczka wystawał bukietek niezapominajek, co Imka bardzo rozradowało.

Wkrótce Jewka i dziadek wybrali się do Łęgu, by odebrać odnalezione przez Imka koryto. Gdy dotarli na miejsce byli pod wrażeniem urządzonego obozowiska i obsianych zbożem pól. Wisetka był bardzo zaradny, rozpoczął nawet budowę solidnej zagrody. Jewka z dziadkiem przeprowadzili się do Łęgu, a niebawem w Głębcach odbyło się wesele. Odbijająca się echem muzyka niosła się przez gronie i doliny zapowiadając początek szczęśliwych chwil.

Po roku w kolebce płakał już mały Jurek, ale w dniu chrztu wydarzyło się coś niespodziewanego. W oddali słychać było ujadanie psów, a ziemia poczęła dudnić od końskich kopyt, co jakiś czas w lesie rozlega-

ły się strzały. Wkrótce cały orszak księcia Mieczysława, który zapuścił się tu na polowanie, przybył pod domostwo Imka. Dawny skazaniec obawiał się, że to już koniec jego szczęścia. Jewka jednak dzielnie wyszła na powitanie księcia pana i zaprosiła świtę na poczęstunek. Władca zdumiony zaradnością wyгнаńca rozkazał, aby sekretarz zapisał do rejestrów: „My, Mieczysław, z Bożej łaski książę cieszyński, przyznajemy Imkowi, zwanemu Wisetką, całą ziemię od granicy ustrońskiej do granicy polskiej i od granicy istebniańskiej do granicy breńskiej na własność, tak dla niego, jak i potomków jego, bez naruszania zwierzchności naszej, prawa polowania i nakładania podatków”. To szczęśliwe wydarzenie było początkiem powstania wsi, a potem miasta Wisła. Wzdłuż rzeki przybywało coraz więcej domostw, a ludziom żyło się tu spokojnie i dobrze. Mijały lata, ale

każdy znał z opowiadań historię Imka, wygnańca, który dzięki swej pracowitości stał się właścicielem ziemi, na której początek ma Wisła, królowa polskich rzek.

Malinka

W wiosce pod górami żyła uboga wdowa. Miała ona młodą córkę, psotnicę, ale cudownej piękności. Jej uroda słynęła w całym kraju. Kiedy chodziła do kościoła, to lud nie patrzył ani na księdza, ani na ołtarz, tylko wszyscy zwracali oczy na Malinkę, bo tak jej było na imię. Schodzili się u niej najprzystojniejsi i najbogatsi młodzieńcy z bliska i z daleka, ale Malinka odprawiała ich wszystkich. Matka błagała córkę, żeby sobie już kogo na męża wybrała, ale nic nie pomogło. Pycha jej rosła, im więcej się o nią starano. Raz w nocy, we śnie, zaśmiała się Malinka głośno. Matka ją zbudziła i zapytała, co się jej śniło?

A ona na to:

– Moja matko, żebyście wiedzieli, jaki miałam rozkoszny sen! Przyjechał urodziwy kawaler, odziany był cały w stal i świecił się jak księżyc.



A matka na to:

– Nie grzeszyłabyś, córko! Zmów raczej pacierz, ażeby cię Bóg nie ukarał za twoją pychę.

Malinka nic nie odrzekła, tylko rano wystroiła się i czekała. Rzeczywiście nadszedł młodzieniec w rycerskim stroju, cały błyszczący w zbroi ze stali, tak samo jak jego towarzysze. Zatrzymał się przed chatą wdowy i z drogimi podarunkami wszedł do izby, prosząc o rękę Malinki. Matka uradowała się, ale Malinka śmiejąc się odprawiła rycerza. Następnej nocy znowu tak się śniło Malince, a rano opowiadała, że zjawił się po nią książę, cały błyszczący w srebrze jak gwiazdy na niebie. Matka ją upominała, ale Malinka się śmiała i stroiła się czekając. Znowu przyjechał orszak wystrojonych rycerzy, wszyscy odziani w srebro, na czele jechał młody książę, błyszczący najwięcej ze wszystkich. Gdy weszli do chaty wdowy

z podarunkami, znowu ich odprawiła Malinka ze śmiechem. Kolejnej nocy śniło jej się, że przyjechał po nią król, odziany w złoto i błyszczał jak samo słońce. Matka płakała i modliła się do Boga, żeby nawrócił serce córki od takiej pychy. Ale Malinka wystroiła się jeszcze piękniej. Teraz słychać było przecudną muzykę i przed chatę wdowy zajechał orszak; na przedzie młodzieniec przecudnej urody, odziany cały w złoty strój, tak samo i wszyscy, co przybyli z nim. Nawet konie ozdobione były złotem, ale na młodzieńcu najwięcej świeciło się złota. Gdy ten wszedł do chaty z podarunkami, Malinka zawołała:

– To jest mój wybrany, ten będzie moim mężem!

Nie pożegnała się wcale, tylko czym prędzej wsiadła na białego konia, ozdobionego złotem i razem ze swoim wybranym opuściła wieś, nie oglądając się na płaczącą matkę. Złoty orszak pędem wjechał do wąskiej

doliny między wysokimi skałami. Pędzili przez most nad rwącą rzeką. Za nimi most zawalił się z grzmotem. Przejechali przez wysoką skałę, a za nimi skała zapadła się w otchłań. Pędzili wciąż dalej, wciąż wyżej, a muzyka grała coraz dziksze melodie. Przejechali przez bramę, błyszczącą w wieczornych promieniach słońca. Za bramą był dziedziniec, na którym stało tysiąc karłów ze złotymi młotkami i kłaniali się swemu królowi. Brama zapadła się za orszakiem w ziemię. Druga brama otworzyła się z łoskotem przed wielkim pałacem ze złota. Nowożeńcy i cały orszak, zsiadłszy z koni, udali się do tego pałacu.

Przepych tam był nie do opisanego. Jasność wielka i kosztowności bez liku. Mąż prowadził swoją młodą żonę przez bogate komnaty do ogromnej sali, pełnej gości w odświętnych szatach. Znajdowały się tam zastawione stoły, a wszelkiego rodzaju naczynia były ze szczerzego



złota. Muzyka zagrała precyzyjnie i biesiadnicy zasiedli do stołów, a nowożeńcy na pierwszym miejscu. Malinka drżała z rozkoszy. Znalazła, czego pragnęła. Była szczęśliwa. Karły przynosiły potrawy na złotych miskach, podawały najpierw nowożeńcom, a potem gościom. Jedli wszyscy żywo i pili na zdrowie królewskiej pary. Młody król wypił puchar, ale Malinka pić nie mogła, bo wino było złote. Biesiada się skończyła, a nowożeńcy udali się do swoich złotych komnat. Malinka była głodna i poprosiła męża o trochę chleba i wody. Podał jej, ale daremnie. I to było złote. Parę dni przeżyła w tym złotym pałacu. Cierpiała okrutne męki i wśród złota umarła z głodu. Tak ukarana została Malinka, ta dziewczeczka pełna pychy i żądna złota. Tego pałacu złotego dziś już nie ma, zapadł się głęboko w ziemię, ale góry, na których on stał, nazywają się Malinowym i Malinowską Skałą.

**O skarbach
w jaskini na Malinowie**

W jaskini Malinowa, w dawnych czasach i podobno jeszcze dzisiaj, ukryte są drogocenne skarby. Kiedyś jama miała być bardzo obszerna i rozciągała się na kilka kilometrów. Prowadziło do niej kilka wejść, jedno nawet od żywieckiej strony. Tu mieli odprawiać nabożeństwa prześladowani za wiarę ewangelicy, a później spotykać się zbójnicy Ondraszka. Mieszkali w jaskini i ukrywali w niej zagrabione skarby.

Pewien wiślański ksiądz wraz z kościelnym miał się tam udać, aby odszukać te bogactwa. Przed wejściem do jaskini nakazał najsurowiej kościelnemu, aby zachował całkowite milczenie, jeśli mu życie miłe. W jaskini zapalili ogień, ksiądz zmawiał modlitwy i wkrótce z ogromnym trzaskiem otworzyły się żelazne wrota. Oczom śmiazków ukazało się nowe i blado oświetlone pomieszczenie. Weszli do niego i znaleźli



niezmiernie dużo skarbów. Nabrali z nich tyle, ile tylko mogli unieść i już mieli opuścić jaskinię, gdy przy samych wrotach ujrzeli olbrzymiego ducha. Kościelny, nie pamiętając o zakazie, krzyknął z przerażenia. Wtedy brama zatrzęsnęła się w wielkim hukiem. Ksiądz, który zdążył wyjść na zewnątrz, szczęśliwie ocalał, ale biedny kościelny został zamknięty w podziemiach.

Do dziś czeka tam na swego wybawiciela.

O śpiących rycerzach w Czantorii

Pomiędzy Wisłą a Ustroniem leży góra Czantoria. Tam w dawnych czasach pastuszek pasł swoje trzody, przesiadywał na skale i grał na fujarce. Pewnego dnia zdarzyło się, że stara maciora zniknęła w gąszczu lasu. Nie pomogły nawoływania i poszukiwania pastuszka, ale wieczorem, kiedy już miał wracać do chałupy, nagle zbłąkana świnia się odnalazła. Zapomniałby o swoim strachu, gdyby ta sama maciora nie powtarzała tego prawie codziennie i zawsze wracała dobrze najedzona.

Nastąpiła jesień i drzewa i krzaki pozrzuciły liście, odsłaniając lepsze widoki. Teraz zdołał pastuszek pobiec za zmykającą maciorą. Niedługo znalazł się w wąskim i ciemnym przejściu między skałami, na którego końcu trafił do ogromnej sali. Jej sklepienie spoczywało na złotych słupach. Stało tam tysiące koni, które spokojnie, jeden obok drugiego, popasały się obrokiem z worków.



Obok każdego konia stał jeździec w nieznanym stroju i dobrze uzbrojony, trzymający jedną nogę w strzemieniu, gotów w każdej chwili wsiąść na swego rumaka. A każdy ten rycerz pogrążony był w najgłębszym śnie.

Ze strachu pastuszek nie zdążył jeszcze wyjść, gdy jeden z rycerzy przebudził się i zapytał krótko:

– Czy już czas?

Chłopiec zmieszany bąknął tylko, że nie i cofnął się drżący. Maciora pobiegła za nim, gdyż już najadła się owsem rozrzuconym przez konie.

Daremnie szukano później wejścia do tej jaskini z piękną salą pełną śpiących rycerzy. Nie znaleziono go już nigdy więcej. Starzy górale powiadają, że pewnej nocy rycerze przebudzą się w świetle księżyca, aby wziąć udział w ostatniej bitwie świata. Kiedy wyruszą, ich zbroje będą tak lśnić, że oświetlą im drogę i noc przemieni się w dzień.

O utopecu w Ciasnej Cieśni i innych strachach

Z utopcem niemal każdy starszy góral miał do czynienia. Zwłaszcza, gdy chodził drogą do Czarne-
go. W Ciasnej Cieśni nad Bajcarami zawsze o północy
na ogromnym głazie piaskowca wysiadywał utopiec
w postaci kozła i w czerwonej kamizelce. Kto przecho-
dził drogą musiał się śpieszyć i szedł z wielkim stra-
chem, aby uniknąć niebezpieczeństwa, bo zdarzało
się, że utopiec porywał przechodnia, unosząc go ze
sobą na Piaskową Kępę lub wciągał do wody i topił.

Nieco niżej nad rzeką również było niebezpiecz-
nie. Przy pile u Fojcików, nad ujściem Malinki do Wisły,
po drodze jeździli o północy dziarscy husarze. Na wi-
dok nadchodzącego człowieka zeskakiwali z mostu do
wody i ginęli. Z kolei na Jonidle o północy biegał biały
koń, który tchórzliwego przechodnia odprowadzał do
mostu na Gościejowie.



Utopiec bywał też w dolinie Łabajowa, w miejscu, które nazywają do Bełku. Przyjmował postać ładnie ubranego, małego chłopca w czerwonej kamizelce. Siadywał na kamieniu koło wodospadu i patrzył w głęboką wodę.

Przechodził tamtędy jeden góral i zobaczył, że mały chłopiec fika tam koziółki i pokazuje rozmaite figle. Kiedy podszedł bliżej, chłopiec wskoczył do wody. Żeby zobaczyć co się z nim stało, chłop nachylił się nad wodą i zobaczył dużego pstrąga. Chciał go schwytać, więc zdjął buty i wszedł do strumienia. Pstrąg uciekał na coraz głębszą wodę, a chłop szedł za nim, aż się utopił.

W Wiśle grasowały też inne strachy. Był strzygoń, płatający ludziom różne figle, straszne sotony i ban-

durki, które jako ogniki lub kobiety wodziły nocą zbłąkanych przechodniów, zwłaszcza nad mokrymi łąkami. Potrafiły tak długo prowadzić przez bagna i krzaki, przewracać i harcować, że do rana nie można było trafić do domu. Jedyłą na nie radą było położyć się na ziemi, nie słuchać namawiań do pójścia dalej i tak przeczekać do świtu.

Spis treści

Początki rzeki Wisły czyli o Czarnosze i Białce	3
Imko Wisiełka	11
Malinka	27
O skarbach w jaskini na Malinowie	35
O śpiących rycerzach w Czantorii	39
O utopcu w Ciasnej Cieśni i innych strachach	43